

Galdhopiggen & Glittertind

Wstęp

Galdhopiggen a przed nim przez długie lata Glittertind, był uważany za najwyższy szczyt krainy trolli. Góra (2469m n.p.m.) stanowi obecnie najwyższy wierzchołek Norwegii, oraz całej Północnej Europy. Obydwa wzniesienia znajdują się w parku narodowym Jotunheimen, rozciągającym się na powierzchni około 3500km². Do Norwegii najlepiej pojechać samochodem, wprowadzie przeprawa promem to koszt około 700zł ale z bagażnikiem pełnym jedzenia i z pełnym bakiem jesteście w stanie dużo zobaczyć i sporo zaoszczędzić.

Dzień 1 – 7 lipca 2011 (czwartek) – Spiterstulen

Krętą leśną i bardzo wąską drogą dojeżdżamy powoli do doliny Visdalen i położonego w niej schroniska Spiterstulen, na wysokości 1104m n.p.m. Górski odcinek drogi do schroniska kosztuje 50NOK(25zł) ale płatności musimy dokonać sami w recepcji po przyjeździe. Tym samym dokonujemy naszej rejestracji i otrzymujemy kwitek, który powinniśmy włożyć za przednią szybę samochodu. Pomimo ciasnej i bardzo krętej drogi, do Spiterstulen dojeżdżają również autobusy z oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów miasteczka Lom. Wielki autokar dowozi turystów 3 razy dziennie. Po przejechaniu tą drogą, nie chcę widzieć jak mija się z innymi samochodami na wąskiej trasie.

To co zastajemy na miejscu zupełnie nie przypomina jakiegoś naszego znanego nam schroniska, ale niemal hotel. Całość stanowi kompleks kilku wykończonych drewnem budynków mieszkalnych. W środku restauracja, basen, sauna, suszarnia dla przemoczonych turystów i około 200 miejsc do spania. Gdy my zajeżdżamy na parking jest już późno. Po godzinie dwudziestej, drzwi do schroniska są już zamknięte, trzeba dzwonić dzwonkiem. Odpuszczamy, wrócimy tu jutro.

Biwakowanie jest dozwolone i dość popularne, nawet na terenie parku narodowego, przez co nie jesteście sami z namiotami. Jedyną zasadą jaką musimy zachować to rozbijać się 100m od najbliższych zabudowań. Za schroniskiem, po drugiej stronie rzeki gdzie tylko świeci kawałek płaskiego terenu widać grupki namiotów. Jednak żeby być bliżej samochodu, cofamy się na jeden z przydrożnych parkingów niedaleko schroniska. Pomimo tego, że nie ma tu oficjalnych pól namiotowych, Norwedzy i tak postawili tutaj kosze na śmieci oraz wybudowali toalety. Rozbijamy szybko namioty, przygotowujemy kolację i kładziemy się spać. Jutro czeka nas bardzo aktywny dzień.

Dzień 2 – 8 lipca 2011 (piątek) – Galdhopiggen, 2469m n.p.m.

Budzik miałem nastawiony na siódmą. Czterdzieści cztery minuty później, po skromnym śniadaniu wychodzimy do góry. Podchodzimy kawałek dalej za schronisko, przechodzimy wiszącym mostem przez rzekę i krętą, wąską ścieżką zaczynamy powoli wspinać się do góry. Szlak łatwo odnaleźć, jest dobrze widoczny, przynajmniej na tej wysokości. Jak wszystkie popularne szlaki Norwegii, oznaczony jest czerwoną literą T namalowaną na kamieniach. W ostatnich dniach jest

szczególnie widoczny, bo dodatkowo oznaczony tyczkami z czerwoną wstążką. Jutro zaczyna się coroczny bieg na Galdhopiggen, stąd dodatkowe oznaczenia, oraz wielkie tablice z aktualną wysokością n.p.m., rozmieszczone co 100m na szlaku.

Przez chłodniejszy klimat piętra roślinności są inaczej ułożone niż w naszych polskich górach. Z moich obserwacji wynika, że piętra roślinności przesunięte są o mniej więcej kilometr. Na wysokości 1300m n.p.m. (w Tatrach to jeszcze regiel górny, do 1550m.), tutaj kończy się już wszelka roślinność, łącznie z trawami. Zaczyna się piętro turni wysokogórskich. Razem z tym poziomem ze szlaku znika ziemia, oraz dobrze wydeptana ścieżka i pojawiają się coraz większe ilości kamieni. Idąc do góry, trzeba bardzo uważnie śledzić namalowane litery oznaczające szlak, inaczej bardzo łatwo można go zgubić. Pomimo że okoliczne szczyty wysokością nie przekraczają naszych Tatr, to na tej szerokości geograficznej pokryte są częściowo lodowcami. Tworzy to łańcuch alpejski krajobraz. Z punktów widokowych na szlaku bardzo dobrze widać olbrzymie popękane pola lodowców, które zaczynają się poniżej szczytu. Z prawej strony Styggrebreen, z lewej Svellnosbreen. Doskonale widać duże, ciemne szczeliny lodowe, odsłaniające się coraz bardziej spod topniejącego śniegu. Niektóre szerokie nawet na kilkanaście metrów.

Na wysokości 1600m przechodzimy przez pierwsze pola śniegowe, topniejące o tej porze roku w bardzo szybkim tempie. Pod kamieniami cały czas słychać szmerzący strumień, co jakiś czas wydostający się na powierzchnię. Razem z dalszym wzrostem wysokości zmienia się też teren. Zanika wszelka, nawet drobna roślinność, a kamienie po których idziemy robią się coraz większe. Mało stromy teren przybiera teraz bardziej na nachyleniu i szerokie pole zmienia się w wąską kamienistą grań prowadzącą na szczyt, ale niestety jeszcze nie Galdhopiggena. Myśląc zupełnie, że to już niemal koniec wchodzimy zaledwie na Svellnose 2272m n.p.m. i dopiero stąd widać najwyższy szczyt Norwegii, oraz daleką drogę jaka jeszcze nas czeka.

Schodzimy w dół na przełęcz pomiędzy Svellose oraz Keilhaus topp (2355m n.p.m.), okrężną drogą mijamy ostatnie, strome pola śniegowe i już tylko ostatnie podejście dzieli nas od ...małej knajpy pod szczytem. Pierwsze zapiski o schronie w tym miejscu pochodzą z 1888r. Kilkakrotnie niszczone przez huragany, w końcu odbudowany z kamienia w 1975r. funkcjonuje do dziś. Nie udziela noclegów ale serwuje posiłki. Po prawie czterech godzinach od wyjścia o 11:36 zasiadamy w „Knut Voles hytte” przy stoliku pod oknem. Spodzielając się szybkiej wycieczki niestety nie zabrałem ze sobą żadnego prowiantu, a zrobiłem się już dość głodny. Przeglądam cennik powieszony na ścianie ale cena herbaty (25zł) i małego hot-doga (60zł) sprawiła, że wcale nie odczuwam tego głodu tak jak mi się to początkowo wydawało. Po chwili odpoczynku podchodzimy ostatnie parę kroków na szczyt i wspólnie robimy sobie zdjęcie na najwyższym szczycie Norwegii i Europy Północnej – 2469m n.p.m. Widoki mamy wspaniałe i gdzie tylko okiem sięgnąć nie ma żadnego wyższego punktu. Jedynie na zachodzie widać ciemną, skalną, przysłanianą co chwilę przez chmury posturę Glittertind, nasz jutrzejszy cel. Spod kamieni poniżej wierzchołka zagarniam do plecaka trochę mokrego śniegu, na dole schłodzimy sobie w nim zwycięskie piwo. W sumie droga na górę to 6,22km. Droga na dół zajmuje już tylko dwie godziny i o 14:30 jesteśmy na dole.

Wieczorem udajemy się z tyłu schroniska, gdzie są ogólnie dostępne łazienki z ciepłą wodą oraz prysznicami. Niestety tej ostatniej przyjemności strzeże automat na monety odblokowujący w kabinie ciepłą wodę. Chwilę się zastanawiam jaką monetę tu wrzucić. Na metalowej skrzynce poza światłkami nie ma absolutnie nic napisane, a idealnie pasującą jest tylko moneta 20NOK(10zł).

Trochę szkoda mi wrzucać w ciemno 10zł, więc ostatecznie najpierw nalałem sobie ciepłej wody z kranu do butelki i dopiero potem poszedłem z nią do kabiny, 1,5l musiało wystarczyć na umycie. Jutro muszę koniecznie w recepcji zapytać o cenę tej przyjemności.

Dzień 3 – 9 lipca 2011 (sobota) – Glittertind, 2464m n.p.m.

Tak jak poprzedniego dnia, punktualnie o siódmej zegarek wybudził mnie z lekkiego snu. Wyłączam budzik, przewracam się na drugi bok, nakrywam śpiworem i śpię dalej. Na zewnątrz znowu pada deszcz a całe niebo zasnuwane jest chmurami. Prognozy pogody, niestety sprawdziły się, druga góra musi poczekać. Dopiero dwie godziny później na chwilę przestaje padać i dojrzewam do decyzji wyjścia na zewnątrz. Po szybkim śniadaniu przygotowujemy się do drogi, dziś tylko we trójkę. Po wczorajszej długiej akcji, dziś nikt nie ma ambicji wspinać się znowu pod górę. Anna twierdzi, że nigdzie się dziś nie wybierze. Rafał idzie z nami ale tylko z początkowym zamiarem przejścia się na grań powyżej doliny.

Najpierw wybieramy się do schroniska zapłacić wciąż zaległą opłatę za drogę i zapoznać się z dzisiejszą pogodą. Recepcja przypomina bardziej jakiś utrzymany w starym stylu, bardzo zadbane hotel. Poza opłatą rejestracyjną wykosztowuję się jeszcze na mapę całego parku Jotunheimen w cenie 100NOK(50zł). Zupełnie zapominam przy tym zapytać ile trzeba wrzucić do tego automatu na prysznic, ale może zdążymy zrobić to jeszcze wieczorem. Ruszamy w drogę dopiero o 10:45, tym razem w przeciwną stronę niż schronisko. Nie dalej niż 200m asfaltową drogą widać pierwsze oznaczenie kierunku na Glittertind. Szlak, przynajmniej początkowo nie jest bardziej wymagający niż wczoraj. Początkowo lekko trawersuje strome zbocze doliny, żeby po pół godziny podejścia, tuż przed szczytem Skautkampan (1443m n.p.m.), skręcić na szerokie pola. W tym miejscu często widywane są renifery i nawet Rafałowi się to udało, ale że był akurat sam i nie miał aparatu, nikt mu nie wierzy. Kolejne cztery kilometry pokonujemy dość szybko, idąc po prawie zupełnie płaskim terenie. W oddali widać już wielkie rumowisko skalne – podnóże Glittertind. Cały maszyn góry skrywają ciemne chmury, a w oddali na stokach widać padający deszcz. Kilka razy w szerokich miejscach, skacząc po kamieniach przekraczamy wartko płynącą rzekę spływającą z lodowców. Po przejściu prawie 6km wchodzimy na pierwsze skały i kończy się przyjemna część trasy. Kolejne 2,5km to już wspinaczka po kruchych skałach. Tutaj ponownie trzeba bardzo uważać, żeby nie zgubić szlaku. Kilka razy zdarzyło mi się zupełnie przypadkowo zboczyć z bezpiecznej drogi.

Robimy krótkie przerwy, co 200m podejścia. Krótkie, bo jest dość zimno i chwilami pada, na szczęście to tylko przelotny deszcz. Chmury przykrywające górę teraz chwilowo odeszły na wschód, ale nadal widać wielkie burzowe obłoki. Nauczyłem się je już ignorować. W Norwegii widoki wielkich, ciężkich chmur nie straszy w górach tak jak u nas, tutaj to codzienność. Zauważyłem też, że pomiędzy Glittertind a Galdhopiggen istnieje swoisty tunel aerodynamiczny. Pomimo, że w dolinie cały czas płyną gęste, ciężkie obłoki, nad obydwoma szczytami niebo często jest czyste. Ostatni przystanek robimy niecałe 50m przed szczytem, ale wierzchołka jeszcze nie widać. Przed wyjazdem udało mi się znaleźć w Internecie zdjęcie z wejścia na Glittertind. Zdjęcie przedstawiało nachyloną śnieżną grań, turystów w rakach i podpis, że szczyt dostępny jest tylko dla zawansowanych turystów. W obecnej chwili jednak trudno mi uwierzyć w ten śnieg i tę całą scenerię ze zdjęcia. Wprawdzie na tej wysokości nie jest za ciepło, ale jak okiem sięgnąć widać jedynie niezmiernie pokłady skał,

gdzieniegdzie tylko oznaczone czerwoną literą T. Znak, że jeszcze nie zgubiliśmy drogi. Nawet pod kamieniami nie widać odrobiny śniegu. Już myślałem, że najpewniej trafiłem na jakiś błąd, lub źle podpisane zdjęcie, aż Kaśka wyrwała mnie z tego zamyślenia wołając: „tam jest”!

To co zobaczyliśmy w odległości kilkuset metrów przed nami, zupełnie nie pasowało do otoczenia. Spośród niezliczonych kamieni i głazów przeróżnej wielkości, nagle wyrastała stroma pokryta szklanym, błyszczącym lodem grań. Przez środek prowadzi niewyraźna, wydeptana ścieżka. Biały czub zupełnie nie komponował się z otoczeniem. Gdybym z tej perspektywy zobaczył go na zdjęciu stwierdziłbym, że to fotomontaż. Kiedy idziemy dalej, niemal nagle kończą się skały i ostrożnie stąpając wchodzimy na nachylone, śliskie pole. Z prawej strony, daleko w dole widać koniec lodu i dalsze skalne pola, z lewej natomiast stromą, urwistą ścianę i spory śnieżny nawis. Przestroga żeby nie podchodzić do samej krawędzi. Zastanawiam się nad wyjęciem raków ale wydeptana ścieżka zapewnia jeszcze dość stabilne podłoże dla butów, przynajmniej dopóki nie zboczymy z drogi. Im dalej tym bardziej jednolita śnieżna ścieżka powoli zanika w śladach wielu stóp. Podchodzimy na pierwszy wyższy niż otoczenie nawis, oceniamy – jednak nie tu, drugi parędziesiąt metrów dalej jest nieco wyższy. Jeszcze tylko parę kroków, ostatnie metry podejścia i o 15:28 stajemy we trójkę na szczycie drugiej najwyższej góry Skandynawii. W oddali widać mały zespół wchodzący od południowej strony, wspaniale, będzie nam miał kto zrobić zdjęcie. Sprawdzam wysokość i zbieram pomiary, Suunto pomylił się jedynie o 3m wskazując 2461m n.p.m. Ciśnienie na szczycie jest równe 750hPa, wiatr w czasie naszego wejścia 19,2km/h, temperatura tylko 4,4°C.

To właśnie ten szczyt przez długie lata i jeszcze do niedawna uważany był za najwyższy. Stało się tak z powodu lodowca, który przez cały rok utrzymuje się na szczycie góry. Wierzchołek Galdhopiggena to tylko skały i pomimo, że w zimie pokryte są śniegiem, to przez nachylenie stoku na południowy wschód, w sezonie z tego śniegu nie zostaje już nic. Na Glittertind tam gdzie świeci najczęściej słońca, góra zakończona jest stromym urwiskiem skalnym. Natomiast z drugiej, bardziej cienistej strony tam gdzie śnieg nie topnieje tak szybko, przez lata nazbierała się dość spora połać twardego zbitego lodu. Tutaj swój początek ma lodowiec Glitterbreen spływający dalej na południe. Niestety w ostatnich latach lód bardzo stopniał w skutek ocieplenia klimatu i stracił nieco na wysokości. Sądząc po jego obecnym stanie, niedługo nie zostanie z niego już nic. Lodu zostało do roztopienia już tylko 8m. Dalej jest lita skała. Dziś różnica pomiędzy tymi dwoma wierzchołkami wynosi zaledwie 5m, ale jeszcze kilka lat temu ten właśnie lodowiec był najwyższym norweskim punktem. Pogoda okazała się bardzo łaskawa, widoczność znakomita i mamy przepiękną panoramę na cały łańcuch górski Jotunheimen.

Trzy godziny później (18:30) docieramy w końcu do namiotów. Mamy jeszcze czas, zdążymy jeszcze odwiedzić schronisko. Dobrze, bo konieczność wzięcia porządnego prysznica dziś jest szczególnie potrzebna. Rafał nie mył się już 3 dni i powoli wszyscy zaczynamy to odczuwać. Sprzedaję mu patent na butelkę z wodą, ale ostatecznie decydujemy się wykosztować i już dziś kupić żetony na prysznic. Jeśli będą za drogie to wybierzemy się na basen. Chwilę później w schronisku analizujemy wywieszone ceny. Sauna i basen kosztują po 50NOK(25zł), nie ma niestety nic o prysznicach, ile to może kosztować? Dobra, idę zapytać. Młody recepcjonista popatrzył na moją nieogoloną, brudną i spaloną przez słońce twarz i na moje pytanie bardziej oznajmił niż zapytał: śpicie w namiotach? – tak – prysznice są darmo. Po czym obserwując moją nie do opisanego minę, uśmiechnął się i podał mi spod lady dwa wielkie żetony do automatu na ciepłą wodę. Zaskoczyli nas zupełnie. Nawet nie spytał czy jesteśmy zarejestrowani, tu wszyscy sobie ufają. My tu myślimy, kombinujemy, ile to może

kosztować, wczoraj umyłem się ostatecznie z butelki a dziś się dowiaduję, że trzeba było tylko zapytać o darmowy żeton...

Choć zmęczeni to przynajmniej czyści i umyjni szykujemy się do ostatniego noclegu i porannego wyjazdu. Przed nami jeszcze drugi tydzień Norwegii, dwa kolejne parki narodowe, oraz trzeci co do wielkości norweski lodowiec Folgefonna. Bez względu na to który z tych dwóch zdobytych szczytów będzie w przyszłości najwyższym, mamy go już zaliczonym. Tym samym kolejny punkt w Koronie Europy można uznać za zdobyty. Kontakt do autora, więcej informacji o Norwegii oraz szerszy opis topograficzny wejścia wraz z trasami GPS dostępne na stronie www.elbrusexpedition.wiktor.boo.pl